Słowo o rzeczach nadprzyrodzonych

Jest to książka o rzeczach prawdziwie nadprzyrodzonych. I jeśli chodzi o mnie, to jestem na nie gotowy.

Kiedy wspólnie z moją żoną Elizabeth braliśmy udział w pisaniu niektórych z pierwszych książek Ruchu Odnowy (*Krzyż i sztylet*, *Boży przemytnik*, *Bezpieczna kryjówka*), zawarliśmy w nich przykłady wielu tajemniczych i cudownych wydarzeń, nie z powodu ich sensacyjności, ale po prostu dlatego, że bez nich zdarzenia, które opisywaliśmy, nie mogłyby zaistnieć. W amerykańskim ruchu wydawniczym ostatniej dekady przesunięty został nieco nacisk w kierunku potrzeby osobistego oddania i dyscypliny w życiu wierzącego.

Jednakże wahadło, jak zawsze, huśta się pomiędzy tymi dwiema bliźniaczymi prawdami o Bożej inicjatywie oraz naszej odpowiedzialności. Książka ta, napisana przez Lorena Cunninghama, pełna jest zaskakujących przykładów Bożej, suwerennej ingerencji w nasze życie. Doświadczeń, które miały miejsce w życiu Lorena nie da się wytłumaczyć po ludzku, dlatego też wspólnie z nim i Janice Rogers podjęliśmy pewną decyzję. Prześledziliśmy rękopis, eliminując przypadki cudownego prowadzenia, które nie mogłyby być potwierdzone przez przynajmniej „dwóch lub trzech świadków" (standard dokładności podawany przez Biblię).

Ja sam przyłączyłem się do tej decyzji, ponieważ mieszkając kilka tygodni w jednej ze 113 baz Młodzieży z Misją (YWAM), jakie znajdują się na całym świecie, występowałem jako konsultant redakcyjny tej książki oraz nadzorowałem jej pisanie. Było to nowe doświadczenie nauczania poprzez praktykę, z którego zrodził się nowy pisarz: siostra Lorena, Janice Rogers. Wykonała ona świetną pracę, łącząc doskonałą narrację z solidnym nauczaniem na temat, mający zasadniczą wagę w życiu każdego chrześcijanina: „W jaki sposób mogę nauczyć się rozpoznawać Boży głos?".

Jednakże jednego problemu nikt z naszej trójki nie potrafił rozwiązać. Było tak dużo wspaniałych historii, z których wiele jest szczególnie lubianych w Młodzieży z Misją; wielu ludzi, z których wszyscy wydawali się postaciami zasadniczymi w tej opowieści, tak wielu nauczycieli, których po prostu nie można było pominąć! W końcu ja, jako osoba z zewnątrz, postanowiłem wkroczyć, aby dokonać tego niełatwego wyboru. Skoro nie byliśmy w stanie opowiedzieć całej historii nawet i w tuzinie książek tej wielkości, ta próbka będzie musiała wystarczyć, aby przedstawić bogactwo zaledwie tu napomknięte.

Jeśli więc znasz Młodzież z Misją nie staraj się odnaleźć tu swych własnych ulubionych wspomnień – bo prawdopodobnie ich tu nie będzie. A jeśli jeszcze nie znasz Młodzieży z Misją, oto historia pełna przygód! Po pierwsze, zwróć uwagę na Boga, który działa z mocą w życiu ludzi; Boga, który oczekuje, że zaprosisz Go do swojego życia...

John Sherrill
Chosen Books
Lincoln, Virginia

Nie wszystko złoto...

Paroma susami pokonałem szerokie, marmurowe schody domu cioci Sandry w Palm Beach, nad jeziorem Worth, który ciocia i wujek George kupili od członka rodziny Vanderbilt. Noc na Florydzie rozświetlały snopy światła reflektorów, umieszczonych pośród tropikalnego listowia oraz złota poświata, rzucana przez wysokie okna domu.

Przycisnąłem dzwonek przy podwójnych drzwiach. Hawkins, chłodny i formalny jak zwykle, odsunął zasuwę i wprowadził mnie do marmurowego holu, przyozdobionego statuetkami i greckimi dzbanami.

– Dobry wieczór, paniczu. – Hawkins wciąż jeszcze nazywał mnie paniczem, mimo iż miałem już dwadziescia sześć lat! – Pani Meehan spotka się z paniczem w bibliotece.

– Dziękuję, Hawkins. Nieźle wyglądasz.

Hawkins ukłonił się lekko, wprowadzając mnie do biblioteki, po czym udał się na poszukiwanie ciotki. Ze wszystkich dwudziestu pokoi zimowego domu cioci Sandry, najbardziej lubiłem bibliotekę z jej perskim dywanem i wysokimi od podłogi do sufitu regałami na książki. „Nigdy nie będziesz należał do tego miejsca" – szepnąłem sam do siebie, rzucając okiem na swoje odbicie w lustrze za jednym z krzeseł.

Światło padało na mnie z ukosa i wciąż jeszcze mogłem dostrzec ślady po trądziku pochodzące z lat, które dopiero co pozostawiłem za sobą. Gdybym wówczas zdecydował się zamieszkać z ciocią Sandrą, tak jak tego chciała, na pewno poszedłbym do drogiego dermatologa. Moje włosy, ciemnobrązowe i lekko falujące, posiadałyby też ten charakterystyczny, wypłowiały odcień, jaki mają włosy miłośników słońca w Palm Beach. Podobnie jak ciocia byłem szczupły – tak nakazywała moda, ale ja miałem inne ku temu powody – w tej podróży po świecie po prostu nie jadłem zbyt wiele.

Mój wzrok padł teraz na olbrzymi, podświetlony globus, stojący tuż obok ulubionego przez wuja George'a krzesła z ciemnej skóry i przez ułamek sekundy znów zobaczyłem tę dziwną wizję, która od sześciu już lat (od kiedy ukończyłem dwadzieścia) nie dawała mi spokoju. Był to obraz młodych ludzi, idących jakby fala za falą, podobnych do mnie – misjonarzy, nasto- lub dwudziestoparoletnich, którzy jakby wmaszerowują na wybrzeża wszystkich kontynentów świata... Ta wizja nie dawała mi spokoju. Bezczelnością było myślenie, że jest to jakieś zadanie dane mi przez PANA. Wielu ludzi otrzymuje „wizje". Czy ta moja naprawdę może być jednym z przypadków tego szczególnego prowadzenia, które poprzedza wielkie dzieła Boże?! Wiedziałem, że gdybym spróbował zasugerować to mojej trzeźwo myślącej cioci Sandrze, przeraziłbym ją.

Weszła ciocia, a za nią wbiegł jej pies Gail.

– Witaj w domu, mój drogi! – Ciocia Sandra z dyskretną gracją i elegancją stąpała po perskim dywanie, w przeciwieństwie do boksera, który na mój widok zaczął skakać.

Ciocia i mój ojciec wychowali się w tej samej biednej rodzinie wędrownego kaznodziei. Ze wszystkich określeń, które można by odnieść do ich dzieciństwa, „elegancja" na pewno nie byłaby najbardziej trafnym.

– To wspaniale, że jesteś tutaj z nami. George wróci dziś później – dodała.

Wiedziałem, że wuj George z pewnością jest jeszcze w swoim klubie. George Meehan dorobił się fortuny w przemyśle włókienniczym, zanim osiadł na dobre, dostosowując się do rytmu lata spędzanego w Lake Placid, zimy w Palm Beach oraz jesieni i wiosny w Providence, Rhode Island. Moje najżywsze wspomnienie to obraz wuja George'a, kiedy trenował golfa w swojej letniej rezydencji i udało mu się wrzucić cały koszyk piłek wprost do jeziora. To był właśnie wuj George.

– Loren – mówiła ciocia Sandra – pewnie jesteś bardzo zmęczony. Co byś powiedział na małą przekąskę, zanim się położysz?

Stale powtarzanym dowcipem było moje zamiłowanie do smakołyków, przyrządzanych przez ich kucharkę. Służąca za chwilę wniosła posiłek i w tym czasie, gdy ja jadłem łapczywie, a ciocia Sandra przegryzała co nieco, opowiedziałem jej o mojej odkrywczej podróży dookoła świata. Usiłowałem zrozumieć znaczenie tej dziwnej wizji młodych misjonarzy.

Ciocia Sandra nie była zbytnio zainteresowana. Zraziła się do chrześcijaństwa w dzieciństwie i teraz pragnęła pozostawić je za sobą. Słuchała mojej opowieści biernie, po czym, kiedy na chwilę przerwałem, szybko się wtrąciła.

– Cieszy mnie to, Loren – powiedziała, wstając. – To dobrze, kiedy młodzi mogą się w ten sposób wyżyć. Jest wiele spraw, o których musimy porozmawiać, ale dzisiaj masz za sobą długą drogę. Możemy zająć się tym jutro.

Wchodząc na górę do przestronnej sypialni, która stała się moją, bardzo dobrze wiedziałem, o czym ciocia Sandra będzie chciała ze mną rozmawiać: o wspaniałomyślnej propozycji wuja George'a. To dziwne, ale ja wcale nie wypatrywałem tej rozmowy. Wśliznąłem się pomiędzy starannie powleczoną jedwabną pościel i leżałem tak, martwiąc się, podczas gdy niebieskawe światło księżyca przesuwało się po pokoju. Jutro będę musiał powiedzieć cioci o tym, co powiedział mi Bóg.

Skrzyżowałem ręce pod głową i wpatrywałem się w ciemny sufit. W jaki sposób można wyjaśnić komuś, kto już wcześniej został zraniony przez takie stwierdzenia, że usłyszało się głos Boga? Zanim spróbuję powiedzieć o tym cioci, lepiej, żebym się najpierw szczerze, naprawdę szczerze przypatrzył Bożemu prowadzeniu – włączając w to także te momenty, które ją samą tak bardzo zraziły.

Wielokrotne słuchanie Boga doprowadziło mnie i moją rodzinę do punktów zwrotnych, które zmieniły nasze życie. Ojciec mojego ojca był właścicielem dobrze prosperującej pralni w Uvalde w Teksasie i żył wygodnie aż do dnia, kiedy otrzymał, jak to określił, „powołanie" do głoszenia Słowa Bożego. Wtedy wystawił cały swój interes na sprzedaż.

– Jesteś głupcem, mówię ci to otwarcie – powiedział brat dziadka.

Wtedy dziadek zaraz odpowiedział:

– Gdybym usłyszał głos Boży i nie usłuchał, dopiero byłbym głupcem.

Zawsze intrygowało mnie to, co się potem wydarzyło. Z początku dziadek wypełniał swoje powołanie „na pół etatu", podejmując się rozmaitych prac w wielu różnych miasteczkach w Teksasie i głosząc Słowo Boże podczas weekendów. Potem zdarzyła się tragedia. On i jego rodzina mieszkali wówczas w San Antonio w 1916 roku, kiedy wybuchła straszliwa epidemia ospy. Jego żona i dwaj synowie (w rodzinie było dwóch chłopców i trzy dziewczynki) zarazili się tą straszną chorobą. Dziadek pojechał do szpitala na oddział zamknięty, aby być ze swoją żoną i małymi chłopcami.

Przez całe dwa tygodnie dziadek Cunningham czuwał przy łóżku swej żony i synów. W końcu wydawało się, że choroba ustępuje. Dziadek przesłał wiadomość do swych trzech córek, żeby posprzątały i przygotowały dom na ich powrót.

Jednak nagle stan jego żony zaczął się pogarszać w zastraszającym tempie. Wszyscy stali bezradnie, kiedy ona zmagała się i słabła, aż w końcu wydała ostatnie tchnienie. Władze nalegały, aby została pogrzebana natychmiast po wyniesieniu jej ze szpitala. W kilka godzin później zdruzgotany dziadek, płacząc, wracał z dwójką chłopców do domu karetką, która miała przywieźć również babcię. Trzy dziewczynki wybiegły szczęśliwe.

– Gdzie mama? – zapytały. Kiedy dziadek powiedział, że umarła, najstarsza z nich, Arnette, krzycząc, pobiegła z powrotem do domu. Młodsze dziewczynki, Gertruda i Sandra płakały, obejmując się nawzajem. To jednak nie był koniec cierpienia. Tego samego dnia, władze sanitarne przybyły przed dom dziadka, oznajmiając, że wszystkie materace oraz ubrania muszą być wyniesione przed dom i spalone. W ciągu jednego dnia dziadek i jego rodzina stracili wszystko, oprócz siebie nawzajem. A w pewnym sensie stracili też i siebie, z powodu późniejszych wydarzeń.

Aż trudno uwierzyć, że wkrótce po tej tragedii dziadek Cunningham obwieścił, że zamierza znów rozpocząć swą posługę, poświęcając temu cały swój czas. To jest właśnie ta część historii dziadka, która cioci Sandrze przysporzyła tyle kłopotów. Słuchanie Boga nie zawsze jest aż tak trudne. Jeśli znamy PANA, to znaczy, że już usłyszeliśmy Jego głos – przecież to właśnie on przyprowadził nas do Niego. Nawet gdy już usłyszeliśmy Jego głos, możemy przeoczyć to, co najistotniejsze, jeśli nie będziemy dalej trwali w słuchaniu. Po rozeznaniu treści naszego powołania *co,* przychodzi pytanie *kiedy* i *jak*. Dziadek był posłuszny temu pierwszemu, czyli treści swojego powołania, którym było głoszenie Ewangelii. Niestety popełnił błąd, nie szukając dalszego prowadzenia odnośnie do tego, w jaki sposób miałby to czynić. Gdyby to zrobił, być może konflikty, które potem wynikły, byłyby o wiele mniej bolesne.

Dziadek widział siebie jako podróżującego kaznodzieję. Nie mogąc zabrać ze sobą w drogę pięciorga dzieci, umieścił je w różnych domach – najpierw u krewnych, potem

u swych przyjaciół rolników, którzy przyjęli je w zamian za ich pomoc w gospodarstwie. W tamtych czasach, jeśli dziecko miało dach nad głową i trzy posiłki dziennie, uważano, że otrzymuje należytą opiekę. Każde z pięciorga dziadkowych dzieci zareagowało na to w swój własny sposób. Dwojgu z nich, w miarę upływu lat, było to mniej lub bardziej obojętne. Moje ciotki, Sandra i Arnette, za swoje trudne i pełne łez dzieciństwo winiły głupie powołanie dziadka. Postanowiły, że nigdy nie będą mieć do czynienia z tym rodzajem chrześcijaństwa. Jak tylko dojrzały na tyle, żeby móc podjąć pracę i zacząć żyć na swoim, szybko to uczyniły, zdecydowane zarobić tyle, ile się tylko dało. To miało im wynagrodzić stratę matki i domu. Można powiedzieć, że im się udało. Cioci Arnette powodziło się dobrze, natomiast ciocia Sandra odniosła spektakularny sukces, zamieszkując w końcu w trzech majątkach.

A mój ojciec, Tom, starszy z dwóch braci?

To doprawdy niewiarygodne, że po tak trudnym dzieciństwie, spędzonym w aż dziewięciu różnych przybranych rodzinach, ojciec nigdy nie obwiniał dziadka za to, że ten był posłuszny swojemu powołaniu do głoszenia Ewangelii. Co więcej, zanim jeszcze ukończył siedemnaście lat, wiedział, że on również jest powołany. Zaczął podróżować z dziadkiem, urządzając spotkania przebudzeniowe na całym południowym wschodzie.

Decyzja ojca, jak to zazwyczaj bywa, spotkała się z wyzwaniem. Ojciec otrzymał niecodzienny list od swojej starszej siostry, Arnette, która mieszkała w Miami. Otworzył kopertę, wyciągając kartkę zapisaną pochyłym pismem.

„Jeśli skończy szkołę średnią" – pisała Arnette – to ona pokryje koszt jego nauki na uniwersytecie, aby mógł zdobyć tytuł inżyniera. To była wielka szansa. Ojciec wiedział jednak, że to odciągnęłoby go od jego powołania. Podziękował więc Arnette i odpisał jej, że nie przyjmie tej propozycji.

Reakcja Arnette była natychmiastowa i brutalna. „Jeżeli zamierzasz spędzić swoje życie na włóczęgostwie, żyjąc z dobroczynności i posługując się religią jako wymówką – pisała – to ja nie chcę cię znać!"

Te słowa zabolały go, tym bardziej że wydawały się trafne – szczególnie w początkowej fazie pomagania dziadkowi w organizowaniu ewangelizacyjnych spotkań. Dziadek nigdy nie dorobił się lepszego życia. Pragnął pomagać tym, którzy borykali się z różnymi kłopotami, małym grupom ludzi, którzy jako zapłatę mogli ofiarować co najwyżej kilka konserw lub świeże produkty, lub co zdarzało się bardzo rzadko, kurczaka. W pewnym miejscu dziadek i ojciec jedli duszone jabłka bez cukru czy przypraw trzy razy dziennie przez dwa tygodnie.

Po trzech latach życia na lichym wikcie mój ojciec poczuł się zmęczony tym wszystkim. Miał wtedy dziewiętnaście lat i choć wciąż uważał, że jego powołaniem jest głosić Ewangelię, postanowił z tym nieco poczekać. Opuścił dziadka i znalazł sobie dobre zajęcie w mieście Oklahoma, pracując w brygadzie konstrukcyjnej na szczycie nowego hotelu Biltmore.

Pewnego dnia, siedząc na dźwigarze dwudziestocentymetrowej szerokości, na dwudziestym czwartym piętrze, obserwował, jak olbrzymi żuraw wciąga na górę ładunek

budulca. Nagle ładunek przechylił się w jego kierunku. Ojciec zdołał uchwycić się ładunku, który uderzył w niego. Za chwilę wisiał w powietrzu, rozpaczliwie próbując się utrzymać, podczas gdy inni robotnicy krzyczeli z przerażenia. Kiedy wreszcie znalazł się na dole, był zdecydowany co do jednej rzeczy: złożył swemu szefowi dwutygodniowe wypowiedzenie, po czym odnalazł dziadka i znów przyłączył się do jego wędrownej posługi.

Nigdy nie zapomniał tego otarcia się o śmierć. Została mu dana druga szansa i tym razem z determinacją gotów był wypełnić Boże powołanie teraz, a nie kiedyś w przyszłości, kiedy będzie miał na to większą ochotę.